Nr. 7. Lwów dnia 21. Lipca 1871. Rok I.

GAZETA LITERACKA

Wychodzi co 1., 11. i 21. każdego miesiąca

Przedpłatę i ogłoszenia przyjmuje biuro Administracji Gazety Literackiej we Lwowie.

Przedpłata wynosi:

Z przesyłką pocztową w Państwie Austrjackiem:
rocznie **3** złr. **60** cent., półrocznie **1** złr. **80** cent., kwartalnie **90** cent

Z przesyłką pocztową za granicę:
rocznie **4** złr., półrocznie **2** złr., kwartalnie **1** złr.

Ogłoszenia
przyjmują się za opłatą **6** cent. od wiersza drobnym drukiem, oprócz opłaty stemplowej **30** ct. za każdorazowe umieszczenie.

Całoroczni abonenci otrzymują bezpłatnie ilustrowany kalendarz na r. 1872.

Ze świata myśli

przez
Władysława Sabowskiego.

I.

Zakres wiedzy ludzkiej.

Za czasów niezmiernie dawnych, przed wiekami, kiedy wiedza ludzka była jeszcze w niemowlęctwie, człowiek myślący spojrzawszy do koła siebie widział się otoczonym niezmiernem mnóstwem zagadek, zupełnie dlań niezrozumiałych. Świetna gwiazda przesuwała się na niebie od jednej strony widnokręgu ku drugiej, i zniknąwszy daleko, gdzie niebo z ziemią się styka, pozostawiała świat w ciemności, aby nazajutrz wyjść znowu na widownię, nie z tej strony gdzie zaszła, ale z tej gdzie wschodziła poprzednio. Z jej zniknięciem, na tym samym widnokręgu ukazywały się mirjady drobnych, różnej wielkości, bez żadnego porządku rozrzuconych światełek, a w pośród nich niekiedy pływała inna blada, wielka gwiazda, która nie co noc nawet się ukazywała i nie zawsze w tem samem miejscu, a miała tę dziwną własność, że z biegiem czasu z wąziuchnego sierpa wyrastała w koło dorównywujące wielkością gwieździe dnia, i znowu z czasem malała w sierp wąziuchny.

Czasami niebo z błękitnego robiło się popielate, pływały po niem jakieś zagadkowe, bezkształtne masy, czasem drobne i nieledwie przejrzyste zupełnie, czasem zakrywające sobą cały widnokrąg i gwiazdę dnia, i gwiazdy nocy.

Bywały chwile, zwłaszcza wówczas gdy owe zagadkowe ciała błękit nieba zakryły, że człowiekowi owemu lała się woda na głowę, niewiedzieć zkąd pochodząca; kiedy indziej znowu coś mu świstało za uszami niepojętym jękiem, coś, czego nie mógł ani zobaczyć, ani schwycić; kiedy indziej blask nagły zapalał niebo od końca do końca, a po blasku dawał się słyszeć huk, który wstrząsał całem jego jestestwem; innym razem padały z nieba niby kule, które boleśnie uderzały w jego ciało, a spadłszy na ziemię zamieniały się w wodę.

Do koła siebie widział drzewa i kwiaty, wszystko to wyrastało z ziemi niewiadomo dla czego i jakim sposobem, drzewa okrywały się liśćmi, liście te po niejakim czasie schły i spadały, i drzewa

sterczały nagiemi gałęźmi, a potem znów okrywały się liśćmi...

W pośród drzew błąkały się zwierzęta, które widok jego zadziwiał i które zadziwiały a czasem przerażały go swym widokiem. Były to istoty żywe, ruszające się, jak on głos wydające, ale nie rozumiejące jego głosu, tak jak on ich głosu nie rozumiał, zbudowane inaczej, okryte najrozmaitszemi szatami.

U stóp jego leżał kamień, nieruchomy, bezwładny, milczący. I ten kamień był dlań zagadką. Zkąd się wziął w tem miejscu, dla czego się nie rusza, kiedy rusza się wszystko, dla czego milczy, kiedy wszystko przemawia, zwierzęta, ptaki, liście nawet szelestem, nawet owady brzęczeniem, dla czego twardy, kiedy ziemia pod stopami pulchna i miękka?...

Za kamieniem płynęła woda. Płynęła wiecznie w jedną stronę i nie ubywało jej, bo wciąż przypływała nowa. Zkąd się brała, gdzie się podziewała, zagadka... Wszystko zagadka. W przejrzystej głębi wody dojrzał jakieś żywe, ruszające się szybko stworzenia. Był tam jakiś świat nowy, zaludniony, jak wszystko niezrozumiały, tajemniczy.

To co się działo w nim niemniejszą była zagadką, jak to co się działo dokoła niego. Raz mu było ciepło, raz znów zimno... dlaczego?... Uczuwał pragnienie i zagasił je wodą jak zwierzęta, i woda mu smakowała. Uczuł, głód chciał go także zaspokoić jak zwierzę... chwycił się trawy i spostrzegł, że to pokarm nie dla niego. A tu wewnątrz jego jestestwa coś wołało koniecznie, aby szukał posiłku. Co wołało?.. czem zaspokoić żądanie tego we własnem łonie ukrytego natrętnika?.. wszędzie zagadki i zagadki...

Znalazł owoc, skosztował go, był smaczny, i rzekł do siebie, że się będzie żywił owocami. Pragnąc zbadać zapasy swej spiżarni poszedł do drugiego drzewa, na którem inne były owoce. Urwał jeden i włożył w usta, był twardy i bez smaku żadnego, taki sam prawie jak jądro, które znalazł w poprzednim. Nowa zagadka.

Chwilami opanowywało go zmęczenie. Usiadł, głowa mu ciężyła. Położył się i patrzył w niebo.

Ale oczy zamykały mu się powoli, myśl słabła, niepokój wywołany tysiącami zagadek ustępował. Wpadał w jakiś błogi stan, którego nie pojmował jak nie pojmował nic, ale nad którym się nie zastanawiał, bo już myśl jego utrudzona zastanawiać się nie mogła.

Usnął.

Po niejakim czasie wstrząsnął całem jego jestestwem ów znany mu już, lecz we śnie stokroć bardziej niepojęty i przerażający huk.

Zerwał się na równe nogi. Na niebie było ciemno, ciemno na ziemi. Tylko z jednéj strony świeciła jakaś silna, migocząca jasność. Zwrócił się w tę stronę i ujrzał drzewo, z którego jadł owoce pro mieniejące tą jasnością. Jakieś promieniste węże lizały i opasywały jego gałęzie obwieszone owocem. Było to zjawisko całkiem nowe; pospieszył aby mu się przyjrzeć, aby go dotknąć, ale gorąco nie dozwoliło mu przystąpić. Jakaś świetlna cząstka wyskoczyła z płonącego drzewa i padła mu na dłoń. Podskoczył, krzyknął, zaczął uciekać, odpędzało go nieznane przedtem, nowe, zagadkowe uczucie — ból.

Zkąd się wzięły te promieniste węże, co jasność rozlewały jak słońce?... Gdzie się podziały?... co się stało z drzewem, które wczoraj jeszcze obciążone owocami dziś sterczało nagie i czarne, bez liści, smolące za dotknięciem, obsypane u stóp kupą jakiegoś nieznanego proszku? zkąd się wzięło owo gorąco, które go nie dopuściło do zjawiska? zkąd gwiazdka, która z płomieni prosto na rękę mu skoczyła? zkąd ból który go odpłoszył?

Takich zagadek otaczał go świat cały, a klucza do nich nie było nigdzie.

Ale słońce wschodziło co dzień, i wschodziło zawsze z tej samej strony. Z początku gdy zachodziło, człowiek je żegnał smutnie, nie myśląc, żeby je ujrzał jeszcze, tak jak nie ujrzał oderwanej gałązki, która z drzewa spadła na wodę i popłynęła i nie powróciła więcej. Drugie pożegnanie nie było już tak smutne, Widząc zapadającą gwiazdę, człowiek powiedział sobie, — „a! może powróci jeszcze". Trzeciego dnia już czekał jej powrotu napewno, czwartego powiedział sobie: ta gwiazda powracać będzie co dzień, tak jak codzień będę czuł senność, głód, pragnienie.

Było to pierwsze odkrycie prawa rządzącego naturą, odkrycie nie sięgające jeszcze bliżej w istotę rzeczy, ale zawsze naprowadzające na myśl, że w tych wszystkich zagadkach jest jakieś prawo, które niemi rządzi, że te wszystkie zjawiska mają jakąś kolej, w której się objawiają, i że dość tę kolej zrozumieć, ażeby je przepowiedzieć, ażeby się przygotować na ich przyjście.

Od tego czasu dziesiątki, może setki wieków minęły, i człowiek co dzień prawie robił nowe odkrycia, tak że dziś już nie świat zagadek go otacza, ale świat znany mu w znacznej części, choć są w nim do dziś jeszcze rzeczy, których nie zrozumiał i nie pojął.

Człowiek zmierzył wzajemną odległość słońca, planet, gwiazd, księżyca i ziemi; i przepowiedział na wieki naprzód ich zaćmienia, poznał naturę choć jeszcze nie doszedł do możności przepowiadania zja-

wisk meteorologicznych; drzewom kazał rosnąć tam gdzie chciał, zmusił je nawet, żeby mu wydawały inne owoce niż te, do których wydawania przeznaczyła je natura; zwierzęta uczynił swemi sługami lub swym pokarmem; wodą opłynął cały świat, a gdzie mu jej było potrzeba potworzył nowe, sztuczne rzeki, połączył z sobą oceany, rozebrał na pierwiastki kamień, a z iskry, która wydała ów przerażający go ogień, zrobił posłańca do przenoszenia swej myśli. Zważył powietrze, podzielił je na pierwiastki, rozkazał mu obracać machiny.

Poznał nietylko świat zewnętrzny, ale i swój wewnętrzny. Policzył nerwy swoje, umysł swój własny na pojedyńcze władze podzielił i zbadał topografię jego stolicy w własnym swym mózgu. Zmysłom swoim, które go łudziły powiedział, że kłamią i wbrew ich fałszywemu świadectwu poznał prawdę. Oko mu mówiło, że ziemia stoi a słońce i gwiazdy się poruszają, powiedział mu że się łudzi; mówiło mu, że wszystko na świecie ma jakąś barwę, powiedział mu że kłamie, że barwa tworzy się w jego oku, świat jest bezbarwny; mówiło mu ucho, że ten piorun co zapala, huczy, on mu zaprzeczył i zrozumiał, że głos tworzy się tylko w jego uchu, a natura cała jest niemą. Posądzał zrazu o woń kwiaty, o smak potrawy, i przekonał się, że tak nie jest, że jedno i drugie wrażenie w nim się tylko tworzy. Ból najdotkliwiej świadczył, że ciało gorące parzy, człowiek i bólowi zwieść się nie dał, lecz pojął, że uczucie gorąca jest w nim, a nie na zewnątrz niego, że tak zwany cieplik w naturze sprawia tylko procesa chemiczne; właściwie gorąco, uczucie zaś gorąca leży w organizmie zwierzęcym.

Mimo tak ogromnego postępu, człowiek nie może powiedzieć, żeby zrozumiał wszystko. Są jeszcze dla niego rzeczy tajemnicze, nie wszystkie prawa wykrył, nie wszystkie zagadki rozwiązał, a nawet w stosunku do wszechwiedzy, do wiedzy doskonałej, ogarniającej wszystko, wiedza jego jest jeszcze nadzwyczaj maluczką. Rozum człowieka odkrył jednak i sposób do wymierzenia zakresu tej wiedzy, jaką już nabył i porównanie jej z tą, jaka do nabycia zostaje.

Widzieliśmy już że z odkryciem zupełnego prawa rządzącego zjawiskami przyrody następuje możność przepowiadania tych zjawisk. Dowodem astronomja, w której człowiek na kilka wieków naprzód może przepowiadać zjawiska, dowodem chemja, w której wie naprzód co z połączenia dwóch ciał otrzyma, dowodem rolnictwo, w którem wie, kiedy zbierać będzie to co zasiewa. Tym sposobem możność przepowiadania przyszłych zjawisk jest dokładnym termometrem wiedzy ludzkiej, a że ogromnego jeszcze mnóstwa zjawisk przepowiadać nie jesteśmy w stanie, więc okazuje się, że wiedza ludzka ma jeszcze przed sobą, ogromną drogę do przebycia, kto wie czy nie daleko większą od przebytej.

Nikt więc zaprzeczać nie będzie, że i teraz otoczeni jesteśmy mnóstwem zagadek, których liczba jednak z biegiem czasu zmniejszać się będzie koniecznie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ołomuniec

Wspomnienie z lat 1864 i 65

przez

Tadeusza Romanowicza.

(Ciąg dalszy).

Wspomniałem już, że w lecie więzienie gorzej nam się czuć dało. Teraz dopiero poznaliśmy, w jak niezdrowem miejscu nas trzymano. Poczęły się szerzyć choroby. Jeden z kolegów naszych dostał skorbutu, a lekarze zapewniali, iż to tylko skutkiem wilgotnego, niezdrowego pomieszczenia. Romatyzmy były na porządku dziennym. Bielański począł zapadać na piersi tak silnie, że nas zatrważał stan jego zdrowia. Bystrzonowski dostawał silnych ataków sercowych — a gdy raz się to stało w nocy, przeszło półtory godziny upłynęło, zanim otworzono kaźnię i dano ratunek omdlałemu. Przyszło do tego, że kilku z pomiędzy nas poszło do szpitalu, któregośmy się bardzo obawiali, wiedząc czem jest szpital więzienny.

W takiej tedy porze, kiedy rozdraźnienie nasze skutkiem tego wszystkiego coraz się stopniowało, a stan nasz z dniem każdym był nieznośniejszym, zaszedł wypadek, który nas jeszcze bardziej rozdrażnił, a co najgorsze, w zgodne dotąd i dość solidarne koło nasze, rzucił zarzewie niezgody.

Było to 1. lipca. Rano wezwał kapitan do kancelarji Jankę Henryka i Bogdanowicza. „Mam wam miłą donieść wiadomość“ — tym stereotypowym frazesem rozpoczął — „rząd zezwolił, byście podawali się sami o ułaskawienie, a spodziewamy się, iż będziecie z tego wszyscy korzystać. Donieście o tem waszym towarzyszom.“

Gdyśmy się o tem dowiedzieli, powstały zaraz dwa obozy między nami, pod przeciwnemi godłami: „podawać o ułaskawienie“ — „nie upokarzać się.“ — Pierwsi oczywiście na poparcie swego zdania nie umieli nic przytoczyć, prócz najprostszego utylitaryzmu, który pamięta tylko o swojem „ja“ a zapomina o względach wyższych. „Źle nam tutaj więc starajmy się wydobyć.“ Ta była ich cała argumentacja. — Na zgoła innem stanowisku opierali się drudzy. — To zezwolenie a raczej wezwanie nas formalne, byśmy podawali o ułaskawienie, postanowione zostało we Wiedniu, kiedy mini-

sterstwo Schmerlinga już się chwiało (27. czerwca podało się do dymisji). Rząd uczuł się w fałszywej wobec kraju pozycji. Stan oblężenia już był zniesiony. Posłowie z Galicji siedzieli we Wiedniu. Nie upomnieli się wprawdzie o naszą krzywdę, jak powinni byli uczynić, ale w każdym razie ministerstwo chwiejące się, na wspomnienie o nas czuć się mogło wobec nich żenowanem, a to tem bardziej, ze poczęło się już pewne zbliżanie się do Węgier, które jeszcze bardziej podnosiło krzywdę, naszemu krajowi wyrządzaną. Dać nam amnestję nie miano odwagi, wszak byliśmy uznani za zbrodniarzy! Więc pomyślano — więźniowie sami dadzą nam możność wyjścia z fałszywej pozycji: niech się upokorzą, niech podane przez nich prośby o ułaskawienie będą dowodem, że się poczuwają do winy, a mając tę moralną satysfakcję, uwolnimy ich. Tak rozumował rząd.

Jakież wobec tego było, jakie być musiało stanowisko więźnia politycznego? Nie upokorzyć się, choćby przyszło karę odsiedzieć do końca. Bo więzień polityczny winien to sprawie, winien to idei, którą reprezentuje, by głowę zawsze nosić do góry, a nie skłonić jej przed przemocą. Z chwilą, kiedy o łaskę prosi, uznaje się winnym, potępia ideę, za którą walczył a dla której cierpi, a wtedy zwycięztwo moralne zostaje przy przeciwniku. Jeżeli komu, to nam właśnie, jeżeli kiedy, to w tych właśnie okolicznościach jedynie takie stanowisko przystało. Posłowie się o nas nie upomnieli, milcząco więc uznali, iż słuszność nie po naszej była stronie. Czyż do tego mieliśmy jeszcze dodawać dobrowolne, przez nas samych dokonane upokorzenie? Czyż wolno nam było bić się w piersi pokornie? przyrzekać poprawę? prosić o łaskę? przyznawać się do winy tam, gdzie było tylko spełnienie obowiązku? Przenigdy! A to tem bardziej, że byliśmy wyzwani. Rzucono nam rękawicę, podjęto z nami walkę moralną — więc trzeba upokorzyć przeciwnika, nie siebie samego, trzeba śmiało podnieść rękawicę. Tak rozumowali przeciwnicy podawania o ułaskawienie, a rozumowali słusznie, jak skutek zresztą okazał.

A nic nas w tem rozumowaniu nie utwierdziło tak silnie, jak głosy organów urzędowych, piszących w tej sprawie. Szczególniej *Krakauer Zeitung* pieniła się ze złości, gdy wspomniała, że znalazło się siedmiu, którzy wytrwali do końca bez podawania o ułaskawienie. W jednym z numerów, jeżeli się nie mylę, październikowych, odpowiadając na artykuł *Gaz. Nar.* domagający się ogólnej amnestji, pisała *Krakauerka*: „Amnestja ogólna jest niemożliwą, bo obejmowałaby ona i takich, którzy o nią nie chcą prosić, a nawet wypierają się (*desavouiren*) podań czynionych przez rodziny.“ Ostatnia uwaga odnosiła się specjalnie do mnie. Czytelnik przyzna mi, że w toku całego opowiadania osobistość autora stanęła na ostatnim planie. Jeżeli tu piszę o sobie, czynię to dla tego tylko, by faktem, który mam opowiedzieć udowodnić, iż wręcz wymagano od nas upokorzenia się. Rzecz tak się miała: Wydano ogólną amnestję dla przestępstw prasowych 31. czerwca 1865. Że zaś ja byłem skazany za redagowanie pisemka tajnego, które jednak drukowanem nie było ale pisanem, przeto jeden z przyjaznych mi adwokatów poddał rodzinie mojej myśl, by upomnieć się o uwolnienie moje, jako objętego już wydaną amnestją. Mniemał bowiem, że pisany, czy drukowany, dziennik jest dziennikiem, i że przestępstwo popełnione w pisanej gazetce jest także prasowem, choć ona nigdy pod prasą nie była. Rodzina moja usłuchała tego, i podała bez mej wiedzy prośbę, by mnie na podstawie już wydanej amnestji wypuszczono. Było to równocześnie z wezwaniem nas do podawania osobiście o amnestję. A był u nas zwyczaj, że gdy kto miał być wypuszczony przed ukończeniem kary, przychodził lekarz z kapitanem do kaźni, pytać się o zdrowie, nie wspominając wcale o co chodzi. Więźniowie zwyczajni w takich razach zazwyczaj opowiadają wiele o różnych chorobach, po czem następuje ułaskawienie. Otóż w czasie, kiedyśmy najgorętsze staczali walki o to, czy podawać się do łaski czy nie, wchodzi do mnie lekarz, i pyta troskliwie o zdrowie. Uderzyło to we mnie jak grom. Nie wiedząc nic o owej nadziei wypuszczenia mnie na podstawie prasowej amnestji, przypuszczałem najgorsze, przypuszczałem, że rodzina wbrew moim gorącym prośbom podawała o łaskę. Ja staczam walkę z towarzyszami, dowodzę, iż podanie takie jest upokorzeniem — a tu stać się może, iż nie na moje wprawdzie, ale na rodziny podanie, zostanę ułaskawiony, i wyjdę wcześniej niż ci, którym sam odradzałem, by nie podawali, i może jeszcze wzbudzę podejrzenie, iż fałszywą odegrałem rolę i odmawiając innych, sam wpływałem na rodzinę, by podała o amnestję. Wizyta więc doktora przeraziła mnie, a chcąc zapobiedz złemu, którego się obawiałem, wstydząc się wreszcie tego, bym miał oczywistem kłamstwem zdobywać sobie łaskę, odpowiedziałem na zapytanie, że zdrów jestem jak ryba. Lekarz zapytanie powtórzył dodając „może przecież pan choć trochę chory“ — na co sucho odpowiedziałem: ani trochę. Doktor widocznie zły wyszedł z kaźni. Na podanie zaś rodziny przyszła odpowiedź, że sąd nie może podania wyżej przedłożyć, ponieważ „skazany, który ma już 22 lat, a zatem o tyle jest samodzielnym, że podanie jego matki nie może być uważanem jako zastępujące jego osobistą prośbę — sam o ułaskawienie n i e p r o s i ł, a zatem nie złożył dowodu, iż zmienił sposób myślenia, iż uznał swój błąd, i ma chęć poprawy.“ Znakomity ten dokumencik, który troskliwie przechowuję, dowodzi najlepiej, iż wręcz wymagano od nas upokorzenia się, iż podanie się

o ułaskawienie uważano jako zmianę sposobu myślenia, uznanie błędu i chęć poprawy. Jeżeli co, to ten dokument przekonywa, iż zdrowy instynkt patrjotyczny i prawdziwe pojmowanie stanowiska naszego było po stronie tych, którzy prosić nie chcieli, a nie po stronie przeciwnej. Zaś to dąsanie się rządu o to, iż nie prosimy, było dla nas prawdziwym tryumfem.

Zresztą dalsze wypadki dały nam słuszność zupełną. Z 23 uwięzionych w Ołomuńcu Polaków, siedmiu tylko nie podało o łaskę: Janko Henryk, Pawlikowski Mieczysław, Szczepański Alfred, Bogdanowicz Józef, Kalicki Bernard, Siemieński Jan i ja, wszyscy inni podali. Z tych 15tu wypuszczono we wrześniu ośmiu, a myśmy wszyscy wyszli we dwa nie spełna miesiące, skutkiem ogólnej amnestji, którą sprowadziły wypadki polityczne. Otóż gdyby byli wszyscy przyjęli nasz sposób myślenia, bylibyśmy zupełnie jasno i czysto wyszli ze sprawy bez upokorzenia się, bylibyśmy wyszli jako zwycięzcy, nie zostawiając kochanym kapitanom więzienia tego tryumfu, żeśmy się do błędu przyznali.

Wracając do opowiadania naszego, wspomnę, że były to czasy najprzykrzejsze dla nas. Póki zgoda panuje i jedność, póty wszystko jeszcze znieść można — ale gdy wśród kolonii więziennej podniosą się waśnie i spory, i to spory tego rodzaju, że się jedni drugim stają nieznośni, że jedni drugim zawadzają, ci jako utrudzający wcześniejsze wyjście z więzienia, tamci jako w oczach pierwszych upokorzeni — wtedy życie więzienne staje się nie do zniesienia. Zatraca się ten łącznik moralny, który więźniów utrzymuje w spójni i tworzy z nich silną falangę ludzi wzajemnie się wspierających, a obóz rozbiły na kółka i kółeczka, traci siłę moralną, tę ostatnią podporę więźnia.

Do tych przykrości przyczyniły się smutne wieści o szerzącej się cholerze w kraju, gdzie każdy zostawił rodzinę i przyjaciół. Z jakąż obawą czytaliśmy doniesienia o stanie zdrowia, jakiż niepokój przejmował każdego, kto dłużej niż zwykle nie otrzymał listu z domu. Wyobraźnia kreśliła nam najsmutniejsze obrazy, a to tem bardziej, że jeden z grona naszego w czasie pobytu w Ołomuńcu stracił żonę, a drugi dziecko. Pragnęliśmy, by co rychlej przyszła zima, w nadziei, że mrozy położą tamę szerzącej się zarazie.

Toż nic dziwnego, że w takim stanie rzeczy rozpoczęte prace naukowe i literackie nie szły tak raźnie jak poprzód, bo umysł niespokojny pracować skutecznie może. Więc częściej niż poprzód rozrywaliśmy się kartami, które ukradkiem można było dostać, najnudniejszą grą w domino, szachami i t. p. — byle czas zabić i smutnym myślom wodzy nie puszczać.

(Dokoń. nast.)

Bruno.

Fantazja dramatyczna

osnuta na tle prawdziwych wypadków

z powstania na Ukrainie w roku 1863.

przez **A. Hanicka.**

OSOBY.

ROTMISTRZ wojsk polskich — starzec kaleka.
LEONIA jego córka.
LUCYLLA, przyjaciółka Leonii.
WŁADZIO, syn rotmistrza, 5cioletnie dziecię.
BRUNO, synowiec i wychowaniec rotmistrza — narzeczony Leonii.
STEPAN, jego sługa i przyjaciel.
SĘP, } powstańcy.
STRZAŁA, }
INNI POWSTAŃCY.
KSIĄDZ SPOWIEDNIK.

Duchy. Chór mnichów. Chór widziadeł. Sołdaci. Tłum ludu. Policjanci.

Rzecz dzieje się na Ukrainie.

Scena I.

(*Duża komnata. Ściany pozawieszane portretami naddziadów. Rotmistrz, siwy starzec, wchodzi opierając się na lasce. Za nim Lucylla.*)

ROTMISTRZ.

Bożym sądem dościgły, w starości kaleka,
Kiedy życie mą nędzę i boleść przewleka,
Kiedy śmierć się oddala, a świat mię porzuca,
Patrzę w niebo, co lat mych nie skróca,
Znaczę dni me pokutą, boleścią i łzami,
Pochylon cierpień latami!

(*do Lucylli*)

Usiądź przy mnie tu dziewczę! — ty mojej Leonii
Siostrą jesteś po sercu. A oko, gdy goni
Mgliste cienie przeszłości, to radbym pogwarzyć,
I słuchaczkę cierpliwą powieścią nadarzyć...
Lubię czasem wynurzyć, co w duszy mej oczach
Miga jasne, a widne, jak promień w przezroczach,
I powiedzieć, gdy serce wspomnienie zagrzało:
Przed laty, lepiej bywało!

LUCYLLA.

Z chęcią słucham, mój panie sędziwy!

ROTMISTRZ.

Widzisz, dzieje przeszłości — to obraz jest żywy,
Co w krainie pamięci swą wielkość roztacza:
Życie w ciszy i w walce, i nędza tułacza,
Krewne sercu oblicza rodziców i braci,
I niewola, i tłumy postaci...
Wszystko, wszystko, com widział w młodości mej sile,
Co dzisiaj drzemie w mogile!
Gdy tak wszystko rozkwitnie i splecie się wieńcem,
Ja się czuję żołnierzem — młodzieńcem!
Wzrok mój jasny — a dusza, jak sokół się zrywa:
Tak wolna, dumna, szczęśliwa!
Pierś ma pełnią odwagi i wiary oddycha,
Boleść niby zaklęta — przycicha,

Wówczas słowa mi płyną i toczą się strugą,
O! gdybyż odżyć na długo!

LUCYLLA.

Panie! nieraz się dziwię piękności
Tych wspomnień, wam drogiej przeszłości,
Gdy ozdobne tem życiem, co z prawdy wytryska,
Pozłocone uczuciem, co płonie i błyska,
W oczach moich roztoczą obrazy tak żywe,
Tak barwne, takie prawdziwe!

ROTMISTRZ.

Kochasz dzieje narodu, boś córą narodu,
Jak Leonia! Kajdany uczułaś za młodu!

LUCYLLA.

Myśmy jednej z nią myśli i wiary!

ROTMISTRZ.

Na świecie
Cierpcież razem. — Szlachetne to dziecię
Piękna moja Leonia! Cóż bez niej bym czynił?
Bóg mię dotknął!... I lud mój — i jam mu zawinił!
W grobie cała ma przeszłość! Lecz Bóg się zlitował,
Bo prócz syna dziecięcia, tę córkę zachował;
Dziś starcowi i dziecku aniołem opieki,
Bezsilnego jest siłą i zdrowiem kaleki,
Wiarą w przyszłość łagodzi zwątpienia tęsknotę,
Uczy kochać mojego sierotę! (*ociera łzę*).

LUCYLLA.

Wiem to, Panie, wszak świętość przemawia z jej twarzy,
Za was niebo ją szczęściem obdarzy:
Błogosławion, kto żywot tak gorzki osłodzi.

ROTMISTRZ.

Ja ją kocham, a Bóg niech nagrodzi.

Scena II.

(*Ciż sami. Leonia, Władzio.*)

ROTMISTRZ (*do Leonii*).

Witaj córko! — gdzie byłaś?
Ja tęsknię do wzroku
Moich dzieci, jak ziemia do słońca w obłoku!

LEONIA (*całuje ojca w rękę*).

Ojcze! z Władziem błądziłam pod zamkiem i w lesie,
Gdzie zaledwie wiatr stepu głos ludzki przyniesie,
Gdzie się skarży w milczeniu mogiła niebiosom,
Gdzie do wtóru zawiei i puszczy odgłosom
Chmura kruków z okrzykiem rozbija się w stada
I na zamku zwaliskach opada.
Z wyżyn gruzów patrzałam na sioła, na chaty,
Starych dębów pytałam, jak było przed laty,
Wracam — z sercem wzruszonem i głową marzącą:
Czyż się wszystkie olbrzymy tak w gruzy roztrącą?

ROTMISTRZ.

Nie spotkałaś Brunona?

LEONIA.

Samotność on woli,
Przeto niechcę jej przerwać — choć serce mię boli —
Niewidziałam go, ojcze!

ROTMISTRZ.

Ha! jednak to dziwa,
Jaki wróg tak zabójczo na duszę mu wpływa?
Z lic mu widno, nie męztwo rycerza przed wrogiem,
Ale walkę z kimś strasznym — kto wie, czy nie z Bogiem?
Co w nim kipi, szaleje, od ludzi odtrąca?
Mogęż przeczuć?

LUCYLLA.

Gdy dusza gorąca
Fantastyczne swe mary chce ująć — to błądzi;

LEONIA.

Błąd przez serce spełniony, niech sercem się sądzi,
Winą jego, uczucie zbyt żywe,
Co za szczerze chce dobra, by oprzeć się złudzie.
Żyć niezdoła mój Bruno, jak inni my ludzie;
Kto zrozumiał w tej duszy cierpienia bez miary?
On wart współczucia, nie kary!

ROTMISTRZ.

Jednak, w życie spojrzawszy ze strony prawdziwej
Śmiesz-że czekać przyszłości szczęśliwej
Z marzycielem, co będzie wyrocznią twej doli?
Pomyśl córko, — tu wyrok w twej woli!

LUCYLLA (*stanowczo i z cicha*).

Ojcze! jaką przez życie nie poszłabym drogą,
Wszak w szczęście — będzie ubogą;
Tak mi matka mówiła w ostatniej swej chwili,
Takeś sam mi powiadał — i ludzie mówili;
Wszędzie znajdę ja łzę do spłakania,
Grzech do zmycia, — i — krzyż do dźwigania.
Jeśli tak jest w istocie, dla czegoż już łamać
Święte słowa przyrzeczeń, i Bogu mam kłamać?
Niechcę wyrzec się uczuć męczeństwa świętego,
Cierpieć muszę, więc wolę — dla niego!

ROTMISTRZ (*rozrzewniony*).

Słusznie!
Prawdą twej mowy mój umysł się zdumiał
I starzec — jam nie zrozumiał
Cichej uczuć mądrości w tej duszy dziecięcej —
Czyń jak zechcesz. Nie powiem nic więcej!

(*Leonia całuje ojca w rękę, on kładzie dłoń na jej głowie. Podczas następnych słów jego Leonia uklęka.*)

Dziecię, przy mnie uklęknij, niech spojrzę w twe lica,
Jakie czyste, błyszczące źrenice,
Święty uśmiech na ustach! — Podobnaś do matki;
Równie świeże jagody, jak róży dwa kwiatki,
Kibić równie polotna i bujne warkocze,
Wzrok pogodny, jak nieba przezrocze!

(*ze wzrastającem wzruszeniem*)

Córko moja! spuściznę cenniejszą nad złoto,
Świętą wiarę naddziadów z pokorą i cnotą,
Dawny ojców obyczaj i cześć dla siwizny,
Ty dziedziczysz; więc strzeż tej spuścizny,
Byś — gdy łany twych bliźnich zostaną odłogiem —
Jedna, z wieńcem żniwiarki stanęła przed Bogiem!

Jeszcze, trzeba ci wiedzieć, że tu, na tej ziemi,
Cisi tylko i korni prawdziwie wielkiemi,
I że życie po Bogu — to wieniec ofiarny,
Siew na bagna i skały, lecz siew to nie marny!

Ze daleka tej drogi — co grzązka, choć ludna —
Jest twa ścieżka samotna i żmudna;
Ścieżka wiary spokojnej, wytrwałej i czynnej,
Ścieżka cichych kapłanek miłości rodz innej.

A nad królów opaski, korony i wianki
Droższa czysta korona niewiasty — kapłanki!
Ona wielkość piastuje wśród ojców zagrody,
Wznosi trony i dźwiga narody!
Walczy wiarą w niebiosa — mił ością oddycha
W zasłudze korna i cicha!

Więc i jemu bądź, córko, tą gwiazdą przewodnią,
Stróżem z nieba, co skrzydłem osłania przed zbrodnią,
I gdy dusza Brunona, złamana i biedna,
Bądź mu słowem modlitwy, co z Bogiem pojedna,
Gołębicą bądź światłą od krain spokoju,
A przez ciebie u prawdy wypocznie on zdroju.

(*Powstaje — z uniesieniem*).

Pomnij, pomnij niewiasto: Ojczyzna twa w grobie,
Ale żyje i cierpi i matką jest tobie!
Na twem czole niewieściem jest święte to znamię,
Które mężów uzbraja, jak serce, tak ramię;
Znamię, z dziecka wyryte niewolą, cierpieniem,
Które hasłem jest wojny — narodu zbawieniem!

(*pochyla się*)

Ha! jak bardzo jam osłabł!... Tak chwila wzruszenia
Pierś mą, niegdyś rycerską, w zwalisko przemienia,
Łzy niewieście już cisną się z oczu.......
Pójdę, modlić się będę, gdzieś tam na uboczu:
Łez żołnierza — kaleki niech człowieka nie widzi,
On zapłacze przed Bogiem — człowiek się wstydzi!

(*ociera łzę i wychodzi*).

(C. d. n.)

TAJEMNICE
pałacu carów.

Rozdział XI.

W więzieniu i w pałacu.

(Dokończenie.)

Szybko posuwała się mała carska łódka po Newie w kierunku od pałacu zimowego do fortecy. W łódce tej znajdował się carski adjutant książę Abamelek i żona Dostojewskiego.

Przybywszy do brzegu oboje wyskoczyli z łódki i pospieszyli do komendanta.

Ale jakież było zdziwienie obojga, gdy ten oświadczył, iż więźnia nazwiskiem Dostojewski niemasz w fortecy.

— To być nie może! zawołał książę Abamalek; oto jest własnoręczny rozkaz Najj. Pana, by go uwolniono natychmiast!

Komendant wezwał naczelnika swej kancelarji, ten zasięgał wiadomości u swych podwładnych, ale nikt z nich nie słyszał o więźniu tego nazwiska.

— W takim razie, rzekł adjutant, nie pozostaje mi, jak tylko uwiadomić n. pana, że Dostojewski osadzony w fortecy z rozkazu hrabiego Orłowa, zniknął bez śladu.

— Więc ten pan Dostojewski, zapytał komendant, jest uwięziony z rozkazu hrabiego Orłowa?... a kiedy? jeżeli wolno zapytać.

— W nocy 14. grudnia.

— Jaki ma numer?

— Jakto, numer?

— Bo, widzi książę, my nie znamy nazwisk osób aresztowanych z rozkazu hrabiego. Przysyła nam on więźnia pod numerem — i to jest wszystko co o nim wiemy... Ale w obecnym razie może wyszukamy Dostojewskiego.

To rzekłszy komendant posłał po dozorcę więziennego, a gdy ten wszedł, zapytał:

— Pod którym numerem mieści się aresztant przysłany przez hr. Orłowa 14. grudnia?

Dozorca zajrzał do swej księgi podręcznej i odrzekł:

— W dniu 14. grudnia przybyło siedmiu więźniów, których z rozkazu hrabiego umieszczono pod numerami 3., 8., 33., 67., 109., 121., i 305.

— Jeżeli tak, rzekł komendant do ks. Abamelek, to nie jestem w możności spełnienia rozkazu najj. pana, gdyż nie wiem, który mianowicie z uwięzionych jest Dostojewski.

— Ależ ja go poznam! zawołała Dostojewska, to mój mąż!...

— To nie podobna, odpowiedział komendant, w takim razie musiałbym zaprezentować pani wszystkich siedmiu aresztantów „sekretnych". Ale niech się pani uda do hrabiego Orłowa i okaże mu rozkaz carski, mąż jej będzie natychmiast uwolniony.

Nie było innego sposobu. Udała się do Orłowa. Tego znowu nie było w domu. Znajdował się w zimowym pałacu, zawezwany przez cara. Powrócić miał późno w nocy.

Zrozpaczoną kobietę ks. Abamelek odwiózł do jej pomieszkania.

* * *

Tymczasem w kordegardzie pałacowej doktor Mandt opatrywał z rozkazu carskiego żołnierza, potrąconego na ulicy przez konia.

— Hm, hm! mówił sam do siebie, rana nie jest niebezpieczna... uderzenie kopytem... zimne okłady prędko to załagodzą. Ale zkąd przyszło cesarzowi tak się zajmować prostym żołnierzem?...

I począł wpatrywać się w twarz chorego. Potem zapytał:

— Jak się nazywasz?

— Saweljew.

— Hm! pospolite imię... Saweljew, Iwanow, Petrow... żołnierzy tych naraz znajdzie się po kilka tuzinów w każdym pułku... dla czegoż ten mianowicie takich względów dostąpił?

I doktor znowu począł przypatrywać się choremu. Potem, jakby mu nagle przyszła myśl nowa, szybko odwrócił się i zapytał stojącego tuż oficera po francuzku:

— Jak się panu zdaje? do kogo ten żołnierz podobny?

Oficer popatrzywszy chwilę odrzekł:

Zdaje mi się... że... że... gdyby nie ta blizna na twarzy... to byłby nadzwyczaj podobny do...

— Do kogo?

— Do najj. pana.

— E! mylisz się pan, rzekł Mandt, ale odchodząc powiedział sam do siebie:

— I on także odrazu dopatrzył podobieństwo... coś w tem jest...

Idąc do pałacu spotkał się z Bażanowem. Byli to wielcy przyjaciele, więc Mandt opowiedział popowi, jakie zrobił spostrzeżenie.

Spowiednik słuchał niby obojętnie, w końcu zapytał:

— A jak się ten żołnierz nazywa?

— Saweljew.

Tego dość było.

— To ten sam, o którym n. pan kazał mi właśnie zasięgnąć bliższych szczegółów, odrzekł; jakieś biedne żołnierzysko, koń cesarski uderzył go i obalił. Byłem już raz w kordegardzie (kłamał), ale leżał bez przytomności. Teraz spieszę spełnić rozkaz.

I nie czekając dłużej pożegnał doktora. Pilno mu było rozmówić się z Saweljewem.

Przybywszy do kordegardy kazał wszystkim wyjść z pokoju, w którym leżał chory. Sądzono, iż przyszedł spowiadać. Sam Saweljew, ujrzawszy duchownego, był tego zdania.

Pop zaczął:

— Potrącił cię koń cesarski gdyś przechodził ulicą?

Saweljew skinął potakując głową.

— Miałeś rewolwer w ręku?

— Tak jest.

— Cóżeś chciał zrobić?

— Chciałem zabić cara.

Bażanow struchlał.

— Tak, mówił dalej Saweljew, chciałem naprzód jemu w łeb strzelić, a potem sobie.

— Nieszczęśliwy! cóż cię mogło spowodować do szalonego kroku?

— Co?... wysłuchaj mię ojcze!... Wiem, że po tem, com ci przed chwilą powiedział, nie długo będę żyć... tem lepiej... Przyszedłeś przygotować mię na śmierć... Przed spowiednikiem nic nie zataję — już mi wszystko jedno!

I opowiedział popowi całe swe życie, ucieczkę z Syberji, widzenie się z Marfuszą, aż do ostatniej chwili, kiedy z rewolwerem rzucił się na cara.

Bażanow słuchał z wielką uwagą, a gdy Saweljew skończył, rzekł mu z namaszczeniem:

— Synu! car jest miłosierny. Jeżeli mię upoważnisz do tego bym mu opowiedział wszystko to com słyszał — to mogę ci prawie zaręczyć, że otrzymasz przebaczenie.

— Nie, ojcze; niechcę carskiej łaski!

— Jesteś w gorączce... opamiętasz się może... za parę dni przyjdę tu raz jeszcze.

I opuściwszy Saweljewa, udał się spiesznie do pałacu.

*

* *

Kilka dni upłynęło od tych wypadków. Dostojewska żadnym sposobem nie mogła dostać się do Orłowa. Saweljewa przeniesiono z kordegardy do tak zwanych oficerskich pokojów w pałacu.

Tymczasem po Petersburgu rozeszła się głucha wieść, że car zasłabł. Urzędowych wiadomości o tem nie było, gdyż Mikołaj nigdy nie pozwalał, by ogłaszano buletyny o jego zdrowiu.

Teraz, będąc już pewnym śmierci, kazał najprzód zatelegrafować do wszystkich gubernatorów te tylko trzy wyrazy: „Sekret. Imperator umiera.“ Dopiero po rozesłaniu tego telegramu, gdy stan jego przestał być dla wszystkich tajemnicą, poczęto ogłaszać urzędowe wiadomości o przebiegu carskiej choroby.

W pałacu panowało zamięszanie, jak zwykle w podobnych wypadkach; jednych przejmowała trwoga, w drugich otucha wchodziła.

Bez żadnych dotkliwych cierpień car widocznie z dniem każdym upadał na siłach. Wreszcie przyjął ostatnie sakramenta, pożegnał się z rodziną i oświadczył, że chce sam pozostać z Orłowem.

Gdy wszyscy się oddalili, zapytał go:

— Czy Dostojewski wypuszczony?

— N. panie, zaczął Orłow i zawahał się.

— Mów prędzej! rzekł car, wiem że nie mam czasu do stracenia.

— Dostojewski nie może być uwolniony.

— Jakto? kiedy ja kazałem?

— Dostojewski nie żyje.

— Zamęczyliście go w fortecy! zawołał Mikołaj z goryczą.

Orłow milczał. Po chwili car znowu przemówił:

— To był człowiek nie majętny... dać jego wdowie stotysięcy — niech jedzie za granicę... dać natychmiast!

— Dostojewska, n. panie, dostała pomięszania zmysłów i znajduje się w szpitalu obłąkanych...

— Idź mi precz z oczu, ty kacie, zawołał car.

Takie było jego ostatnie pożegnanie z najwierniejszym sługą.

W kwandrans potem spowiednik Bażanow przywołany został powtórnie do Mikołaja.

— Chciałbym, rzekł mu car, zabezpieczyć przyszłość syna Asenkowej... tego Saweljewa... zrób tak, by ten przyszedł potajemnie... by go nikt, prócz ciebie nie widział... chcę by z własnych ust moich usłyszał, że mu na łożu śmierci przebaczam, iż targnął się na życie — ojca.

— N. panie, zaczął Bażanow.

— Cóż znowu?

— Saweljew uciekł, wraz z oficerem dodanym mu do towarzystwa.

Car gwałtownie poruszył się na łóżku, ale nie rzekł ani słowa więcej, tylko po niejakim czasie dał popowi znak ręką, by wyszedł.

*

* *

Podczas gdy dzwony wszystkich cerkwi ogłaszały stolicy śmierć carską, lekki angielski statek pod flagą parlamentarną szybko szedł przez wody fisilskiej zatoki.

Na pokładzie jego, zwrócone ku Petersburgowi, stały dwie osoby, widocznie nic nie należące do okrętowej załogi, mężczyzna i kobieta. Pierwszy miał rękę na temblaku i wielką bliznę na twarzy — był to Saweljew, w drugiej zapewne czytelnicy domyśleli się Natany.

K o n i e c.

Marzyciele.

Studjum socjologiczne

przez

Bolesława Limanowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Jeżeli mamy wierzyć podaniom, to Plato za młodu służył wojskowo *). Wiemy też z własnego jego zeznania, że miał wielki pociąg do polityki, ale niepowściągliwość i niemoralność stronnictw walczących odstręczyły go od niej, a mając podobno słaby głos wcześnie zrozumiał trudność występowania publicznego, które z przemawianiem do ludu koniecznie łączyć się musiało. Wprawdzie, w późniejszym czasie, gdy Plato miał 60 lat już z górą, sława wielkiego filozofa zdobyta przezeń postawiła go w możności odegrania wielkiej roli politycznej, ale nawyknienia nauczyciela przytępiły w nim ostatecznie zmysł potrzebny do kierowania i rządzenia ludźmi. Zamiast w stosunkach swych z Dyonizyjuszem II, jak słusznie powiada Grote w „Historji Grecji“, zużytkować swój wpływ na odmianę systematu rządowego, Plato podjął się rzeczy trudnej, niemal niepodobnej, bo poprawy moralnej samego władcy. Wkrótce też ludzie, co posiadali mniej nauki, ale więcej znajomości słabych stron charakteru ludzkiego, zdołali zniechęcić swego władcę do filozofa, którego poprzednio wielką czcią otaczał. Pokazało się przytem, że można być wielkim filozofem, ale słabym politykiem, czem jakby dowiódł na własnym przykładzie, że twierdzenie, iż rządy państwa do filozofów należeć powinny, doświadczeniem z życia rzeczywistego poprzeć się nie daje.

Filozofja, która w owym czasie tyle znakomitych umysłów Grecji poruszała, podniecając je do wyjaśnienia świata i jego objawów, bardzo wcześnie wielkiem swem zadaniem i wspaniałością samego przedmiotu pociągnęła ku sobie myśl i wyobraźnię Platona. Zaznajomił się on z rozmaitymi wówczas głośnymi systematami, najwięcej wszakże zajęła jego umysł nauka pitagorejczyków, z którymi połączyły go w późniejszym czasie ścisłe związki. Szkoła pitagorejska podnosząca w człowieku samodzielność, a więc i swobodę, budująca cały świat na prawach stałych harmonii objawionej w liczbach niezmiennych, miała w sobie wszystkie te cechy, które mogły przywabić umysł czynny, wyobraźnię bujną i serce szlachetne.

Lecz że filozofja stała się najulubieńszym i głównym przedmiotem zajęć Platona, wypada to przypisać wpływowi nauczyciela jego, który był uczniem Heraklita, przedewszystkiem wszakże potężnemu wpływowi Sokratesa, który zacnością swego charakteru, stałością przekonań i głębokością poglądów zhołdował go najzupełniej. Będąc jeszcze bardzo młodym, bo mając zaledwie dwudziesty rok (w 410 r.), został uczniem Sokratesa. Cudowność, którą chętnie roztoczono nad wielkim mistrzem starożytności, opromienia pierwsze spotkanie się Platona z Sokratesem. Podług podania, śniło się raz Sokratesowi, że młody łabędź z ołtarza miłości spuścił się do jego kolan, a następnie wzniósłszy się w powietrze, słodyczą śpiewu zachwycił ludzi i bogów. Gdy Ariston przyprowadził swego syna do Sokratesa, wielki ten nauczyciel miał poznać w Platonie owego łabędzia i pomimowolnie zawołać: „poznaję łabędzia, któregom widział we śnie.“

Przez jedenaście lat, bo aż do samej śmierci Sokratesa w 399 r., Plato pozostawał przy swoim mistrzu, a następnie stał się jednym z najdzielniejszych tłómaczy jego nauki. Od Sokratesa wziął w spuściźnie formę dyjalogiczną badania prawdy, i wszędzie też mistrzem, nauczycielem występuje w jego dyjalogach Sokrates, którego więzienne chwile opisał w Phedonie, a w świetnej obronie skazanego mistrza wyrzut wieczny ateńczykom ich niesprawiedliwości uczynił.

*) Ast twierdzi, że podania o służbie wojskowej Platona nie wytrzymują krytyki (str. 18. i 19.). Trzeba jednak tu dodać, że krytycyzm Asta czasem go zawodzi, jak np. w kwestji stosunków Platona z Dionem i Dyonizyjuszem Młodszym.

Po śmierci swego mistrza wraz z innymi jego uczniami Plato opuścił Ateny, unikając prześladowań demokracji panującej, w której oczach był podejrzanym już jako krewny najgłośniejszego z trzydziestu tyranów, Krytjasa. Nieprzyjazne więc okoliczności przyczyniły się najwięcej, że Plato odbył ważną podróż, w której poznał dokładnie naukę filozoficzną, i która otworzyła przed nim szeroki widokrąg. Rozpoczął podróż dojrzałym już człowiekiem, ponieważ miał trzydzieści lat skończonych. W Megarze bawił u Euklidesa i zapoznał się z zasadami szkoły eleackiej, w Cyrenie odwiedził matematyka Theodora. W Jonii ojczyźnie heraklitskiej filozofii zgłębiał jej zasady. Prawdopodobnie, był także w Fenicji i Persji. Natomiast podróż jego do Egiptu nie ulega wątpliwości, i wiemy nawet, że o ile z wzbudzonem oczekiwaniem wielkich odkryć jechał do tej tajemniczej krainy, o tyle doznał zawodu, a przynajmniej w tem, co się tyczyło badań filozoficznych. Podróż jego trwała kilkanaście lat, albowiem wkrótce po pokoju 387 r. spotykamy Platona w Sycylii, dokąd przybył w celu bliższego zapoznania się z pitagorejczykami i zobaczenia słynnych wybuchów góry Etny.

O pobycie Platona w Sycylii i stosunkach jego z władcami Syrakuz wiadomości były tak poplątane, że niektórzy uczeni nie wahali się policzyć je do wymysłów, — i trzeba było umiejętności krytycznej Grota *), ażeby je w rzeczywistem świetle przedstawić. Opowieść znakomitego historyka podaję tu w streszczeniu.

Pitagorejscy przyjaciele Platona przedstawili go Dionowi bratu małżonki Dyonizyjusza Starszego tyrana Syrakuz. Dion naówczas był młodym człowiekiem. Niepospolitych zdolności, szlachetnego usposobienia i dzielnego charakteru uległ wpływowi potężnej myśli Platona w uroczej formie słowa wypowiadanej. Przejąwszy się szczerze zasadami moralności przez Platona głoszonemi, Dion zupełnie odmienił sposób swego życia, usuwając wbrew zwyczajom panującym na dworze wszelki przepych, wszelki zbytek ze swego domu, a natomiast zaprowadzając jak największe umiarkowanie we wszystkiem. I w postępowaniu tem wytrwał, pomimo, że to źle widziano na dworze jego szwagra. Dion namówił nawet Dyonizjusza, aby ten zaprosił do siebie greckiego filozofa i z nim obszernie o wszystkiem pomówił. Podług opowiadania Plutarcha, Plato, stanąwszy przed jednym z największych podówczas samowładców, bez obawy, z zapałem przekonania zaczął rozwijać tę myśl, że prawdziwe szczęście może być tylko udziałem cnotliwego człowieka, i że despoci nie mogą rościć sobie prawa do zasługi, męstwa i dzielności. Wszyscy obecni ujęci byli wymową filozofa, lecz Dyonizjuszowi śmiałość podobna wcale się nie podobała. Podług Diodora, Dyonizjusz kazał wyprowadzić Platona na rynek niewolników i tam go sprzedać. Podług Plutarcha zaś, rozkaz Dyonizjusza wykonano w Eginie, gdy Plato wracał do Aten na okręcie odwożącym posła lacedemońskiego. Dopiero w Cyrenie wykupił go Annikeris i odesłał do Aten. Jakkolwiekbądź, Grote jest tego przekonania, że Plato istotnie czas jakiś krótki pozostawał niewolnikiem **).

*) G. Grote. — Histoire de la Grèce, traduit par A. L. de Sadous. T. XVI. Paris. 1866. Zaczynając od str. 128.

**) Histoire de la Grèce. T. XVI. Str. 129.

Mając już przeszło czterdzieści lat, wracał Plato do ojczystego miasta. Podanie opowiada, że po drodze wstąpił na igrzyska olimpijskie i tam zamieszkał razem z kilku Grekami jadącymi do Aten, a następnie nawet odbywał z nimi razem podróż. Po przybyciu do miasta, współtowarzysze drogi prosili go jako ateńczyka, aby postarał się ich poznajomić z wielkim filozofem, Platonem. I jakież było ich zdziwienie, gdy się dowiedzieli, że towarzysz ich podróży był to owym znakomitym człowiekiem.

Lecz największą sławę zdobył Plato w swem rodzinnem mieście, gdzie rozpoczął nauczać w odziedziczonym po ojcu ogrodzie przy akademji *). Uczniowie przychodzili do niego z całej Grecji, a pomiędzy nimi byli ludzie rozmaitego wieku, stanu i płci. Tak, pomiędzy jego uczniami widzimy Aristotelesa, Demostenesa, Ksenokrata, Hyperidesa, Likurga, Focjona, Menedema i innych. Przychodziły też go słuchać i kobiety, jak np. hetera Lastenja i młoda dziewczyna, Aksiotea, która, aby nie zwracać na siebie uwagi, przebierała się po męsku. W nauczaniu tem upłynęło dla Platona dwadzieścia lat z górą, i mistrz nasz poważany i kochany od uczniów dożył do starości.

Tymczasem następcą Dyonizjusza Starszego został Dyonizjusz Młodszy, mający 25 lat wieku, niepospolitych zdolności, ale słabego charakteru, próżny, chciwy pochwał, a postępowaniem swojem nieumiejący na nie zasłużyć. Dion, który prawdopodobnie utrzymywał ciągłe stosunki z Platonem, zacnością swego charakteru i siłą woli zdobył wpływ wielki na młodego władcę. W skutek jego przedstawień, Dyonizjusz zaprosił Platona do Syrakuz. Mocno się wahał starzec, czy ma zamienić spokojne i zaszczytne swe miejsce nauczyciela na zmienne losy nowej wędrówki i nowych stosunków; lecz przyjaźń Diona, nalegania Archytasa i innych filozofów italskich, nareszcie nadzieja osiągnięcia praktycznych celów ze swej nauki — wpłynęły na jego postanowienie. Przyjęcie Platona w Syrakuzach było serdeczne i wspaniałe. Królewski powóz zawiózł go do mieszkania, a Dyonizjusz sam osobiście dziękczynne czynił ofiary z powodu szczęśliwego przybycia znakomitego mistrza. Wpływ jego wkrótce stał się potężny, i jeżeli nie przyprowadził do żadnych ważnych zmian, a następnie dworacy zdołali go nawet podkopać,— to wypada głównie przypisać to wszystko niestosownemu postępowaniu samego Platona. Raz np. Dyonizjusz sam się oświadczył z tem, że zamierza despotyzm syrakuzki zamienić na władzę królewską ograniczoną i wskrzesić państwa Sycylijskie, które już były utraciły charakter helleński. Zamiast podtrzymać szlachetny ten zamiar w umyśle młodego władcy, Plato zwrócił jego uwagę, że nie ukończył jeszcze własnego wykształcenia, i że poprzednio powinien uzupełnić takowe, a dopiero już później przystąpić do reform państwowych. Ma się rozumieć, że podobne słowa próżnemu i drażliwemu młodzieńcowi podobać się nie mogły; a z tego korzystali dworacy, starając się mu obrzydzić przedewszystkiem opiekę Diona, albowiem dobrze rozumieli, że z usunięciem tego ostatniego i wpływ Platona również osłabnie.

*) Akademja był to drzewami obsadzony i dla gimnastycznych ćwiczeń przeznaczony plac, na którem stało kilka posągów i pomników, a niedaleko którego znajdowała się świątynia poświęcona muzom przez Platona.

Intrygi osiągnęły swój skutek, i Dyonizjusz rozkazał wywieść Diona na półwysep włoski *). Dla Platona wprawdzie, okazywał po tym wypadku jeszcze większą uprzejmość, niż poprzednio, przeznaczył mu nawet mieszkanie w pałacu obok swego pokoju; ale to wszystko zakrawało raczej na ściślejszy dozór, jak na rzeczywistą serdeczność. Pomimo największych starań, nie udało się Platonowi wyjednać pozwolenia powrotu dla Diona; jedynym zaś skutkiem jego wpływu było zawiązanie stosunków pomiędzy Dyonizjuszem, Archytasem i filozofami z Tarentu. Nareszcie znakomity nasz mistrz, przekonawszy się, że pobyt jego na dworze syrakuzkim żadnego pożytku nie przynosi, prosił, aby dozwolono mu było odjechać, czemu zajęty natenczas wojną Dyonizjusz wcale się nie sprzeciwiał.

Jeszcze raz Plato odwiedził Syrakuzy. Nastąpiło to w skutek wezwania Dyonizjusza i przedstawień Archytusa i tarentczyków. Filozof nasz pospieszył na dwór syrakuzki w nadziei, że wpływem osobistym dopomoże Dionowi wrócić do ojczyzny. Dyonizjusz przyjął Platona świetnie, okazywał na wielkie zaufanie,— wolno mu było np. zbliżać się do despoty bez poprzedniej rewizji, — ale na wszystkie jego prośby co do Diona dawał odmowną odpowiedź, a nawet jakby umyślnie w tym samym czasie kazał skonfiskować majątek wygnańca. To oburzyło i zmartwiło Platona, prosił więc, aby mu pozwolono było wyjechać do Aten. Lecz próżny samowładca, którego dumę łechtało, że ma na dworze znakomitego filozofa, zwlekał z udzieleniem pozwolenia, — i pobyt Platona w Syrakuzach zaczął przybierać wszystkie cechy niewoli. Dopiero, gdy Archytas i jego towarzysze wstawili się energicznie za swoim przyjacielem, mędrzec nasz otrzymał pozwolenie wyjazdu z Sycylji. (D. c. n.)

*) Zapewne, wspomnienie tej okoliczności podyktowało Platonowi słowa, że trudno mędrcowi przezwyciężyć wpływ otoczenia na władcę. Rzeczposp. Księga VI. rozdz. 8.

Pan Antoni Walewski jako historyk.

(Dokończenie.)

Jan Kazimierz nie musiał jednak bardzo ufać tej polityce; gdy wreszcie widząc, że go wszyscy monarchowie opuścili prócz Papieża, który mu przysłał 100.000 talarów i prócz hana tatarskiego, który wiernym pozostawszy Polsce, upominał Chmielnickiego do wierności królowi i powstrzymał go w dalszym napadzie; gdy wreszcie widząc jak się ks. Augustyn Kordecki, z załogą na Jasnej górze w której było 160 włościan, 70 zakonników i 5 szlachty, dzielnie przed Szwedami bronił, wydał piękny manifest (20 listopada 1655) wzywający naród do powstania, rachując tylko na Boga i na siebie i wyjechał ze Szląska do kraju swego, gdzie już konfederacja Tyszowiecka (29. grudnia 1655) wznieciła ruchawki i szarpała wrogów. Pokazało się, że to był najlepszy środek działania. Gdy się los Polski poprawił i była uzasadniona nadzieja jej restauracji, Austrja z większą już ochotą słuchała propozycji Polskiej.

Nie ulega wątpliwości, że Austrja nie życzyła sobie upadku Polski, że pragnęła utrzymania jej niepodległości; ze strony Polski nie groziło jej bowiem nigdy żadne niebezpieczeństwo. Pragnęła zachowania Polski, bo znajdowała w niej skuteczną zasłonę od barbarzyńskich ludów Północy i Wschodu oraz tamę przeciwko Szwedom, którzy popierani przez Francję i Anglję, byli dla niej ciągłą groźbą wraz z niemieckiemi protestanckiemi państwami. Gdy więc niewątpliwe korzyści odnosiła z istnienia Polski, nie mogła żądać jej upadku. Polityka przecież niemiecka w Wiedniu, jak dzisiaj tak i wówczas nie pozwalała śmiało ująć się za Polską i sprawiła, jak tego dowodzi depesza posła Szwedzkiego z Wiednia, przejęta przez Polaków, a którą Jan Kazimierz odesłał cesarzowi, że Austrja była pochopniejszą do przymierza z Szwecją niż z Polską. Gabinet wiedeński lawirował pomiędzy państwami wojną objętemi, przyobiecywał Polsce swoje pośrednictwo w traktowaniu o pokój z Moskwą, potem z Szwecją i z Elektorem brandeburskim, zastrzegał się przeciwko wpływom francuskim na dworze polskim, lecz żadnej nie uczynił dla Polski ofiary. Owszem, współcześni oskarżali rząd cesarski, że umyślnie przedłużał wojnę w Polsce. Szwedzi zajęci w Polsce, nie mogli ruszyć na Austrję, do czego zachęcani byli przez Mazariniego. Austrja więc nie życzyła sobie pokoju w Polsce, a gdy pomimo jej chęci, pokój przychodził do skutku, starała się aby go zawarto za jej pośrednictwem i dla tego energicznie występowała na dworze polskim przeciwko pośrednictwu francuskiemu, które jej interesa i położenie mogło narazić na zupełne osamotnienie.

Intrygi posłów francuskich i austrjackich przy Janie Kazimierzu, szczegółowo opisuje pan Walewski. Wpływy ich wzajemnie się zwalczały. De Lombres przy pomocy Marji Ludwiki, zniecierpliwionej ociąganiem się Austrji, coraz skuteczniejszym czynił wpływ francuski i gdyby nie upór Karola Gustawa, który zagrzany posiłkami Rakoczego i Kozaków, odrzucił myśl zgody, byłby stanął za pośrednictwem Francji pokój ze Szwecją bez wiadomości cesarza, cara oraz króla duńskiego. Lisola poseł austrjacki jeszcze zręczniejszy od swego przeciwnika francuskiego, naglił i wzywał gabinet swój o udzielenie pomocy Polsce a pomiędzy argumentami nakłaniającymi użył takiego: „gdy wojska austrjackie będą w Polsce, w powszechnem rozszarpywaniu, Austrja może jakąś cząstkę dla siebie zagarnąć“. Walewski ażeby utrzymać się przy swojem założeniu, nazywa naiwnie ten argument głosem rozpaczy, chociaż w sto kilkanaście lat potem kierowana nim Marja Teresa przystąpiła do rozbioru Polski.

Pomoc jednak z nad Dunaju nie przybywała. Dopiero po śmierci Ferdynanda III., następca jego Leopold zawarł traktat w Wiedniu (27. maja 1657) z naszymi posłami, na zasadzie którego przybyło do Polski 18.000 wojska pod dowództwem Hatzfelda. Cesarz nakazał swo-

jemu feldmarszałkowi oszczędzać żołnierzy i unikać walnych bitew, co sprawiło, że jego wojsko prócz udziału, jaki wzięło w oblężeniu Krakowa i Torunia, było prawie bezczynnem. Kosztowało bardzo wiele a pożytku z niego było mało, obdzierało mieszkańców i tyle im swojemi wymaganiami dało się we znaki, że w końcu stało się równie ciężkiem i znienawidzonem, jak szwedzkie. Pan Walewski obszernie opisuje ruchy tego wojska i spory wynikłe z powodu jego zachowania się. Tajne wiedeńskie archiwum dostarczyło mu obfitego materjału do dziejów tej pomocy i do negocjacji prowadzonych z Austrją. Wiele nieznanych dokumentów dyplomatycznych, które w archiwum wynotował pisząc po niemiecku dzieło o panowaniu cesarza Leopolda Igo, pomieszczał w dodatkach tak do polskiego jak i niemieckiego swego dzieła. Do historji więc stosunków zagranicznych Polski, książka jego jest źródłową. Przez żadnego pisarza stosunki te tak obszernie i dokładnie nie zostały opisane. Z nich się pokazuje, że polska służba zagraniczna nie była zaniedbaną, jak pospolicie mniemano. Przyczynek ten do dziejów dyplomacji polskiej, wyświeca dostatecznie stosunek pomiędzy Polską a cesarstwem niemieckiem i podaje niejeden mało znany lub zupełnie nieznany fakt negocjacji polskich z Danią z Elektorem, z Moskwą i z Francją, które to umowy przedstawia zawsze z punktu austrjackiego interesu.

Francji autor nie lubi. Jej ówczesną politykę nazywa dla Polski bardzo zgubną i nieprzychylną. Francja, powiada, nie dbała o Polskę, pragnęła jej upadku, bo w nim widziała osłabienie cesarstwa niemieckiego przeciwko któremu tradycyjnie występowała. Szwecja pokonawszy Polskę, sąsiadując z Austrją, trzymałaby Habsburgów na wodzy, Polska zaś zostawiała jej współzawodnikom wolne ręce. „Nieprzyjaźń Austrji z Francją, powiada dalej, tyle zaszkodziła Polsce, ile potem związek Austrjaków z Prusakami i z Moskwą, któremu współzawodnictwo Austrji z Francją drogę utorowało i wprost do rozbiorów prowadziło.“

Marją Ludwikę, która w zabiegach dwóch dworów o wpływ w gabinecie polskim, namiętny udział brała, z powodu skłonności jej ku Francji, maluje pan Walewski w ciemnych kolorach. Obraz jej skreślony jego ręką, przedstawia królowę jako obłudną intrygantkę, niecierpliwą aż do konwulsji umysłowych. Wiele ona złego Polsce wyrządziła przez to mianowicie, że za jej staraniem w r. 1658 Jan Kazimierz przyjął pośrednictwo Francji w traktowaniu o pokój z Szwecją. Była to, powiada niemiarkując się w swojej ku Wiedniowi stronności, jedna z najzgubniejszych chwil w dziejach Polski (II. tom str. 222). Czy opinia autora o ówczesnej polityce Francji jest uzasadnioną, wiedzieć będziemy wtedy, gdy ogłoszone zostaną dokumenta z archiwum spraw zagranicznych francuskich, z których lubo korzystał, nie tyle jednak, ile z archiwum wiedeńskiego.

Polityka elektora brandeburgskiego względem Polski jest według naszego przekonania, źle przedstawioną przez p. Walewskiego. O tym przewrotnym księciu, który ugruntował potęgę pruską, pisał on pod świeżem wrażeniem studji Droysena, który odznacza się „specyficznie pruską niesprawiedliwością dla obcych, a przesadną pochwałą dla swoich i tłumaczy częste przeniewierstwa elektora okolicznościami, w jakich się znajdował. Z Szwedami zawarł traktat w Malborgu (1656), podsunąwszy Karolowi Gustawowi zbrodniczą myśl rozbioru Polski i wystąpił ze swemi wojskami przeciwko Polsce. Gdy zaś Szwedom noga się powinęła, zdradził ich, jak poprzednio zdradził swojego króla i pana traktując ze wszystkimi i wszystkich kolejno zdradzając, za pośrednictwem posła austrjackiego Lisoli, zawarł pokój w Welowie (19. wrześ. 1557), podpisany przez hetmana Gąsiewskiego i biskupa Warmińskiego Wacława Leszczyńskiego, w którym Polska uznała na swoje nieszczęście udzielność Prus książęcych. Traktat ten ratyfikowany w Bydgoszczy (6go listopada 1657) przez Jana Kazimierza jest kamieniem węgielnym dzisiejszej tyle strasznej pruskiej przewagi w świecie. Niepodległość Prus wymuszona na Polsce za staraniem Austrji w czasie targania krajów naszych przez licznych nieprzyjaciół, była najsmutniejszem następstwem najazdu szwedzkiego i najszkodliwszym wypadkiem w dziejach Polski XVII. wieku. Fryderyk Wilhelm nie zdobył niepodległości dla Prus, ale ją wyszachrował. Austrja potrzebowała jego głosu dla Leopolda przy wyborze na cesarza niemieckiego i dla tego namawiała gabinet polski do zrobienia wielkiego ustępstwa zdradliwem wazalowi, a przecież p. Walewski dowodzi, że polityka wiedeńska była bezinteresowną i dla Polski korzystną.

Ze stanowiska sprawiedliwości i polskiego interesu, inaczej także pisać należało o Moskwie. Niepowtórzymy szczegółów negocjacji pomiędzy Moskwą, Austrją i Polską bardzo ciekawych a wykazujących barbarzyństwo Moskali. Powiemy tylko, że autor nie zna wcale źródeł moskiewskich do historji tych czasów, nie zna też Moskwy i w świetle niewłaściwem przedstawia jej charakter. Moskwa według niego, niesłusznie nazywaną była państwem azjatyckiem i barbarzyńskiem, a sam przecież podaje fakta dowodzące, że w niej istnieje duch azjatycki i barbarzyński. Pociągnięta przez Kozaków, z przyczyny jednej głoski opuszczonej w tytule Wielkiego Kniazia wydała wojnę Polsce, paliła wsie i miasta, wycinała ludność gromadnie, fakta które aż nadto uzasadniły nadanie jej nazwy barbarzyńskiej. Przy traktowaniu o pokój w Wilnie, naśladując zwyczaj hanów mongolskich, żądała „aby Polacy tę wojnę wpisali w swą historję dla pamięci wnuków, jako zemstę Boga za swe błędy, grzechy i wyniosłość.“ Autor nie wierzy w gwałty i w okrucieństwa Moskali popełnione przy napadzie ich na szwedzką Kareljją i Jungrję (I. tom 298 str.), podziwia słowiańską gościnność

ludu moskiewskiego a ceniąc jego poświęcenie i posłuszeństwo dla carów oraz żelazną wytrwałość w dążeniu do znaczenia politycznego, nazywa go narodem przejętym zasadami konserwatorskiemi, których Polakom brakuje.

Płytkość ostatniej obserwacji, każdego co zna Moskwę i jej dzieje, uderzy od razu. Konserwatyzm moskiewski jest nieprawdziwy, bo dąży do wywrotu zasad społeczeństwa europejskiego. Pewien, żyjący feldmarszałek moskiewski przy odwiedzinach znanego polskiego poety, rzekł do niego: „Wy to Polacy jesteście raczej konserwatywnym narodem, a nie my Rosjanie. Ziemia u nas i ludzie są własnością cara, w obec niego wszyscy są równie jak gdzieindziej w obec prawa. U nas niema praw i niema arystokracji. Imiona niemają tradycji sławy jak u was. Jesteśmy posłuszni jak niewolnicy, słuchamy dopóki musimy, niewolnik zaś niema co konserwować." Moskale nie są więc konserwatystami w znaczeniu europejskiem i połączenie z nimi zaszczepia w Polsce nihilizm a nie owe zachowawcze pierwiastki, o których mówi pan Walewski.

Zjednoczenie Polski z Moskwą pod berłem Wielkiego Kniazia Aleksego, który w ugodzie wileńskiej miał sobie przyobiecaną koronę Polską, nazywa dyplomatyczny pisarz „Historji wyzwolenia" wzniosłą kombinacją, mniema bowiem, że takie zjednoczenie skłoniłoby Moskwę do przyjęcia Unji religijnej z kościołem rzymskim. Złudzenie o pochopności Moskali do katolicyzmu, podziela pan Walewski ze wszystkimi posewinistami ubiegłych wieków i naszego stulecia, którzy niejednokrotnie już poświęcili polskie interesa dla Rzymu. W imię wiary i przywiązania do kościoła żądali od Polski ofiar a w zamian nie potrafili nawet w Polsce rozszerzyć pojęć i uczuć, któreby ją uratowały od najazdu i zachowały niepodległość. Za to jakieżby to korzyści odniosła Moskwa? Oto, powiada pan Walewski, gdyby Moskale połączyli się z rzymskim kościołem, papieztwo łatwiej niż kościół grecki, obroniłoby Rosję od pastwy doktryn francuskich i niemieckich: liberalizmu, demokracji i postępu (I. tom. str. 315) to znaczy cywilizacji. Po wyspowiadaniu się ks. Kalinki w broszurze o Francji i po wydrukowaniu polemiki ks. Goljana oraz po ogłoszeniu zamiarów jezuickich przez „Tygodnik Katolicki" i „Przegląd Lwowski" pojęcie pana Walewskiego o przeznaczeniu kościoła chroniącem narody od cywilizacji, zadziwić już nie może polskiego czytelnika.

Charakterystyka osób w „Historji Wyzwolenia" nie jest zupełną i prawdziwą. Jan Kazimierz jest w niej jenialnym wodzem, wielkim mężem stanu, niepospolitym mówcą, bystrym i energicznym królem, Stefan zaś Czarniecki jest tylko uzdolnionym partyzantem.

Postać wielkiego wojownika, któremu Polska pomniki stawiała a poeci cześć jego opiewali jako zbawcy Ojczyzny, maleje w książce p. Walewskiego. Nie narodził się panem a działanie jego było powstańcze, więc też uwielbienia nie znalazł w sercu konserwatywnego historyka.

Nieznajomość nazw polskich na ziemi polskiej w uczonym historyku i profesorze uniwersytetu naganić musimy. P. Walewski niektóre miasta wielkopolskie, pruskie i szląskie, nazywa po niemiecku. Wiadomo, że Niemcy dla pseudo naukowego utwierdzenia bezzasadnych i nierozsądnych swoich pretensyj do ziemi polskiej, przemieniają nazwy miejsc i osad polskich po swojemu. Zdaje się im, że na kartach w ten sposób pofałszowanych, nikt już Polski nie znajdzie. Nie należy więc pomagać w dążeniu naukowej zagłady narodu polskiego, przez przyjmowanie wykoślawionych nazwisk.

Język polski autora nie jest poprawny. Rzeczowniki z obcego języka wzięte, powinny być pisane w rodzaju jaki im nadał zwyczaj przez powszechne użycie a nie według rodzaju, jaki im nadają języki, z których wzięte zostały. Sposób pisania autora nie jest łatwy do czytania i nie jest powabnym. Nie umie szczegółów grupować w obrazy, któreby zostawały w pamięci czytającego.

Z tego cośmy powiedzieli o „Historyi Wyzwolenia" mającej wartość źródłową dla dziejów dyplomacji polskiej i zaletę oryginalnego poglądu, dostateczne już możemy mieć wyobrażenie o panu Walewskim jako historyku. Brak w nim rzetelnego poczucia potrzeby niepodległości narodowej, bez których nie możemy wyobrazić sobie prawdziwego historyka; brak w nim jest owego spokoju i miary, która jest warunkiem sprawiedliwego poglądu a chroni od tendencyjności.

Braki te i jaskrawa tendencyjność jest cechą pana Walewskiego jako też prawie wszystkich dziejopisarzy ze szkoły, której on jest niezaprzeczenie jednym z illuminarzy.

A. G.

Kronika literacka.

Ignacego Kohna „*Eisenbahn Jahrbuch der Oest. Ung. Monarchie*" pojawił się rocznik czwarty. Jestto sprawozdanie dokładne ze stanu wszystkich kolei żelaznych w Austrji, czynności rad zawiadowczych, uchwał walnych zgromadzeń składu rad zawiadowczych i centralnych administracyj, ruchu i stanu finansowego.

Centralna komisja statystyczna wiedeńska wydała rocznik statystyczny tej połowy monarchii za r. 1869. Wydania tej komisji odznaczają się tem, że się zawsze spóźniają. Najnowszy ten rocznik znacznie obszerniejszy jest od poprzednich, i obfitszy zawiera materjał. Zużytkowany tam jest także rezultat ostatniego obliczenia ludności.

Tejże samej komisji wyszedł zeszyt V. Mitheilungen aus dem Gebiete der Statistik — i zawiera sumaryczny rezultat obliczenia ludności, mniej dokładny jednak niż w powyż wspomnianym roczniku, tudzież: Małżeństwa, urodzenia i wypadki śmierci w r. 1868 zestawiony według powiatów przez J. A. Schimmera. Zestawianie według powiatów o tyle jest korzystniejszem, że daje już dokładniejszy obraz stosunków kraju, tak różnych w pojedyńczych okolicach.

„Memoires du feu le prince Pierre Dołgorouki“. Tom II. Zeszyt 1. Bazylea i Genewa 1871. Pamiętniki Dołgorukowa odznaczają się trafnemi poglądami na stosunki rosyjskie, i wyborną ich znajomością.

Dr. Izydor Szaraniewicz, profesor histo ji przy jednym z lwowskich gimnazjów wydał w niemieckim języku: krytyczne poglądy na historję narodów karpackich w starożytnosci i średnich wiekach, (Lwów 1871 — str. 141—4) z litografowaną kartą. Praca gruntowna, oparta na najstarszych żródłach. Pierwsza ta część zawiera: Żródła storożytne o narodach karpackich i ich wyniki. W dalszych trzech częściach, które autor zamierza wydać, pomieści: Wędrówki ludów i ich wpływ na ugrupowanie ludów karpackich. — Powstanie państw przykarpackich i ich początkowe stosunki terytorjalne i międzynarodowe. Powolne przeinaczenie życia narodów karpackich w skutek powszechnej kolonizacji.

Do historji ostatniej wojny coraz nowe pojawiają się materjały i monografie. Emil Lecercq wydał: „La guerre de 1870 — L'Esprit parisien, produit du regime imperial“. Bruksela 1871. Jest to zbiór ciekawych dokumentów, ustępów z artykułów dziennikarskich, piosnek, mów, listów i t. p. przeplatanych trafnemi uwagami autora, a wykazujących, jak dalece rządy napoleońskie wpłynęły szkodliwie na kierunek umysłów, jak fałszowano i łudzono opinię publiczną i t. p. Autor bezwzględnie, nielitościwie prawie rodakom swym gorżkie wypowiada prawdy. Marka Debrit: „La guerre de 1870“ Genewa i Paryż 1871. Są to notaty robione współcześnie a uzupełniane następnie i zaokrąglone. Część pierwsza: Ren i Mozela; 2ga Ardenny; 3cia Paryż i Metz; 4ta Ligiera i północ; 5ta kampania wschodnia. Dodatek: oblężenie Strassburga i Belfortu.

Z zbroszur politycznych zapisujemy: Alfreda de la Guéronnière: „La Catastrophe de la France. L'anarchie demagogique“. Nazwisko autora wystarczy, by się czytelnicy domyśleli, w jak wstecznym duchu broszura ta napisana. Nie inna też jest druga, bardziej popularnym tonem pisarza broszura tegoż autora: „Place au droit“ — Obie odnoszą się do paryskiej komuny. W języku polskim mamy także dwie broszury w tej sprawie: „Rewolucja i reakcja czyli Paryż i Wersal“ jako 6ty zeszyt Demokraty polskiego nakładem Karola Gromana — tudzież Bronisława Wołowskiego: „Polacy w rewolucji paryskiej“ oparta na autentycznych dokumentach, a ważna szczególniej ze względu na udział Dąbrowskiego w ostatnich wypadkach.

Ks. Jerzy Czartoryski wydał broszurę federalistyczną: „Uwagi o polityce polskiej w Austrji“. — Bezimiennego: „Die Slaven und die slavische Frage“ nie zbyt przychylna dla Słowian, domagająca się jednak choć częściowego zaspokojenia ich życzeń. — Dr. Karol Kissling wydał broszurę: „Der Rechtsschutz des Einzelnen gegenüber der Gesammtheit und deren Organen“ — w której ze stanowiska ściśle umiejętnego i prawnego domaga się, by obywatele państwa we wszelkich wypadkach poniesienia szkody z powodu jakichkolwiek zarządzeń publicznych, byli wynadgradzani i odszkodowani. Juljusza Fröbla: „Die Irrthümer des Sozialismus“ (Lipsk 1871) napisane ze znajomością rzeczy, ale w kierunku zbyt jednostronnym. Nieprzyjaciel socjalizmu w ogóle, uważa autor jako socjalizm teorje najskrajniejsze i rzeczywiście niedorzeczne, ale przepomniał o tych teorjach socjalistycznych, które mają w sobie ziarno zdrowej prawdy. Pominął z umysłu wszelkie dobre strony socjalizmu i jego zasługi, i odnosi łatwe zwycięztwo probując swej dyalektyki na tem tylko co w istocie jest mylnem.

(A.) Włócząc się po rozmaitych szkolnych popisach, które mnie zawsze bardzo zajmują, radbym Wam zdał obszerną sprawę z wszystkiego, i liczne poczynił uwagi. Ależ to rzecz zbyt obszerna, a należąca właściwie nie do Waszego, lecz do jakiego specjalnego pedagogicznego dziennika. Nie mogę jednak odmówić sobie przyjemności podania Wam szczegółów jednego popisu, który szczególniej mnie zajął i ucieszył. Mówię o popisie w zakładzie wychowawczym żeńskim p, Felicji Wasilewskiej. Popis rozpoczął się 30. z. m. rano zdawały cztery niższe klasy — w obecności delegatów Rady szkolnej krajowej i miejscowej pp. Mandybura, Rodakowskiego. Wilda, Sobieskiego i Łuczkiewicza. Na pytania z przedmiotów szkolnych, języków: polskiego, francuskiego i niemieckiego, historji polskiej i powszechnej odpowiadały panienki w sposób świadczący o zupełnem pojęciu rzeczy, o wielkiem rozwinięciu umysłu i obfitości podanej wiedzy. Po południu o trzeciej rozpoczął się popis klas wyższych z języka francuskiego, literatury i historji polskiej i powszechnej, estetyki, nauk przyrodniczych i geografii. Przy egzaminie z języka francuskiego tłumaczyły uczennice podane im ustępy płynnie, poprawnie a w duchu języka, szczególniej zaś zadowolnił wszystkich rozbiór logiczny i gramatyczna analiza, w czem uczennice udowodniły nietylko wyborną znajomość języka, ale i myśl rozwiniętą a do logicznego rozumowania nawykłą. A już zgoła uradowani byli wszyscy, nie wyłączając surowych członków Rady szkolnej, odpowiedziami uczennic z estetyki, literatury i historji polskiej, nie pozostawiającemi nic do życzenia. Odpowiedź zawsze wyczerpująca a obmyślana, głębokie zrozumienie rzeczy, myśl rozwinięta, przytem szczere zamiłowanie rzeczy ojczystych najlepsze składają świadectwo o niepospolitej wiedzy i wybornym sposobie udzielania nauki ze strony przełożonej zakładu, która sama te przedmioty wykłada. W naukach przyrodniczych, któremi kierują znani ze zdolności nauczyciele, zarzuciéby chyba można, że obliczony na dwa lata kurs nauk przyrodniczych jest za obszernie przeprowadzony; zbyt szczegółowe opracowanie jednej partji nie zawsze zostawia czas na rozwinięcie innych, a możeby było korzystniej w szczuplejszych wprawdzie ramach ale wszystkie działy nauk przyrodniczych przechodzić. Arytmetyka, szczególniej zaś metoda wnioskowania, przeprowadzona we wszystkich klasach w sposób najpraktyczniejszy. Egzamin skończył się o ósmej godzinie rozdaniem nagród i odczytaniem klasyfikacji. Żałowałem, że spóźniona pora, znużenie słuchaczy i uczennic nie dozwoliły wyczerpać programu — brakło już czasu na język i literaturę niemiecką wykładane przez bardzo uzdolnioną nauczycielkę tutejszego seminarjum żeńskiego p. Stefanię Wekslerową — i na historję powszechną. Wyszliśmy wszyscy zadowoleni zupełnie z popisu — widząc w nim oczywisty dowód znakomitego kierownictwa umiejętnego. Z tego co słyszałem śmiało wnioskować mogę, iż w zakładzie p. Wasilewskiej zarówno wykształcenie jak i wychowanie wyborne odbierają uczennice. Kierunek nauczania tak szlachetny, tak moralny, tak jasne a serdeczne poglądy na sprawy świata, że gdyby wszystkie kobiety mogły przejść taką szkołę, lepiejbyśmy dziś stali. Osoba która przez lat już blisko 20 w takim kierunku zakład swój prowadzi, w zakładzie tym tyle już nauczycielek, tyle zacnych wychowała kobiet — ma już w narodzie niespożyte zasługi. Przypomniałem sobie skromne słowa, któremi p. Wasilewska zakończyła była swój wykład publiczny o Hofmanowej mówiąc, że „my już starsze wzoru tego doścignąć nie możemy wy młode usiłujcie“ i pomyślałem, że kiedyś o niej to samo kobiety nasze powiedzą.

Sprostowanie. W numerze 6 w artykule: Pan Antoni Walewski jako historyk, wydrukowano przez pomyłkę: Na str. 10, kolumna 2, wiersz od góry 16ty: **opasły** zamiast **opoliły**; str. 11, kol 1, wiersz 53: **1779** zamiast **1789**; str. 11, kol. 2, wiersz 18: **mieli pismo dziejów** zamiast **snuli pasmo dziejów**; str. 11, kol. 2, wiersz 43: **radzi** zamiast **rodzi**; str. 12, kol. 2, wiersz 14 i 25: **wierząc swojemu królowi na czcze oświadczenia** zamiast **wiożąc swojemu królowi czcze oświadczenia**.

☛ Inseraty. ☚

Wydawca i Redaktor: Jan Śliwiński. Druk K. Pillera.